№ 22.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 27. Października.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Nie myślimy wcale wykluczać grzeczności, która jeżeli nie do cnot, to przynajmniéj do zalet policzoną być może, lecz musimy zwrócić uwagę, że grzeczność dzisiajsza przybrała całkiém inną postać. Wziąwszy np. samo dawniejsze powitanie „upadam do nóg", niezgadza ono się z dzisiajszym czasem, bo tylko nikczemny może do nóg upadać, a dumny upadanie do nóg przyjmować. Śmiesznością także jest, do człowieka, któremu się czyni wyrzuty, że niesumiennie i źle sobie postępuje, używać słów „mości dobrodzieju", bo one znaczą, że jest miłościwym przez swoje dobre sprawy. Konsekwencya dzisiajszych stosunków cywilizacyjnych zatrze niewątpliwie te wyrażenia przedawnione, o których każdy wie, że dziś są bez sensu. W życiu potoczném jest to wszystko nieszkodliwém, lecz są grzeczności publiczne, a o tych można powiedzieć, że są w stanie zatruć dni tego, co ich się dopuszcza. Z dawnych czasów panegirycznych biorąc wzór, wielu ludzi uważa, że w mowach publicznych, potrzeba zawsze naczelnika lub władzcę obsypywać pochwałami. Tymczasem jeżeli naczelnik albo władzca taki należy do ludzi ważnych, któremu historyk późniejszy poczyni wielkie zarzuty, poudowodnia zbrodnie i okaże, że one były jawne, natenczas nie zaniedba i przydać: „tak nikczemny człowiek znalazł jeszcze wielbiciela, który mu sypie pochwały" i snadno być może, że owego wielbiciela wytknie z imienia i nazwiska. Co tylko dziś robimy, trzeba nigdy z ócz niespuszczać sędziów, ktorych nieznamy, a którzy są jakoby pełnomocnikami potomności. W wojnie polskiéj w r. 1831. mało sobie jenerałowie robili z opinii, a tymczasem niewiedzieli, że mieli podofficerów i podporuczników, co są naocznymi świadkami spraw, a potém zostaną historykami i stąd będą mieli w ręku najwyższą władzę sądową bo historyczną, a mając prawdę na swéj stronie, zyskają i wiarę ogólną.

Dzisiajszy czas jest bardzo rzeczywistym: nikczemności i niesumienności naganę, a cnocie i zasłudze pochwały przyznaje. Nieda się téż nikt już durzyć słowami, dobrze zaokrąglonemi perjodami, ale każdy się pyta o czyny, patrzy dowodów. Dla tego wszystkich mówców i autorów panegirycznych zwracamy uwagę, żeby na to baczyli, iż obsypując drugich pochwałami, walą sobie przez to większe nagany i na zarzut nikczemności dla siebie samych pracują.

Poświęcenie się.

Przez L. S.

(Ciąg dalszy.)

— Na rany Boskie, Januszu! zawołałem... tego szaleństwa niemogę dopuścić...

— Próżny mi opór stawisz — rzekł wyrywając się odemnie. Noc poda najlepszą radę. Bywaj zdrów. — I wybiegł pędem; chciałem gonic i niepuszczać go, lecz drzwi zatrzasnął w swoim pokoju i na żadne zaklęcia otworzyć niechciał.

Łatwo wyobrazicie sobie, jaką miałem noc; a jaką mieć musiał Janusz, to już i pojęcie przechodzi.

Wstawszy raniutko pobiegłem zapukać do jego pokoju pukam — nikt się nieodzywa. Ha! źle — pomyślałem.

W śmiertelnéj trwodze lecę poszukać jakich kluczy myśląc, że nimi drzwi otworzę; wracając z kluczami spotykam na wschodach starą piastunkę która biegła z pospiechem.

— Przebóg! jakżeż ma się Panna Helena? — zapytałem jéj.

— Daleko lepiéj, Bogu dzięki, odpowiedziała. Siedziałam całą noc przy niéj, na dedniem przebyła gwałtowną kryzys i zaraz doznała ulgi, teraz ustąpiła gorączka i sen przyszedł. Chciałam tę wiadomość donieść panu Januszowi.

— Na dedniem! powtarzałem z trwogą i pomięszaniem i przypadłem do drzwi Janusza, które choć się otwarły, musiałem jeszcze użyć wszystkich sił, aby odepchnąć komodę, którą się zabarykadował. Na wstępie nic niemógłem rozeznać; żaluzie były zamknięte a świeca stojąca na stole dogorywała w lichtarzu buchając czerwoném i słabem światełkiem. Zdawało się że w pokoju nikogo niema. Pobiegłem do łóżka: próżne. Poskoczyłem ku oknu, otwieram żaluzie, dzień zajaśniał... i wtenczas ujrzałem Janusza rozciągnionego na ziemi przy stole. — Podniósłem go.. był bez zmysłów... spojrzałem na stół... flaszeczka stała próżna... lecz płyn zabójczy znajdował się przelany w filiżankę... Widać że niemiał odwagi wypić i spełnić ofiary... wśród walki stracił przytomność.

— Chwała Bogu najwyższemu! wykrzyknąłem głośno — niewypił...

I zaniosłem go na łóżko.

— Niewypił? pochwyciła piastunka zaglądając do filiżanki — a prawda, że niewypił, tyle jest co i było. — I natychmiast wybiegła, zostawując mię samego z Januszem, z którym dobrze się namęczyłem, nim go mógłem otrzeźwić.

Heleno!... z ciężkością wyjąknął przychodząc do siebie.

— Twoja Helena ma się lepiéj! odrzekłem.

— Lepiéj!... powtórzył zrywając się, mimo osłabienia... lepiéj? a ja niepiłem...

— Cóż że niepiłeś? ale ona mimo tego zdrowsza i żadne niebezpieczeństwo niegrozi.

— Dzięki ci Boże! rzekł upadając na łóżko — Myślałem, że tego nieprzeżyję.

Rzeczywiście, okropna noc którą przebył i tyle gwałtownych wzruszeń jakie poprzedziły ową chwilę stanowczą wyczerpały wszystkie jego siły. Gorączka rozebrała go natychmiast. Chciał wstać i osobiście zapewnić się o zdrowiu Heleny, lecz ustać niemógł na nogach: położyłem go więc w łóżko choć się temu opierał.

W pół godziny zaczął już gadać od rzeczy, o śmierci, o truciźnie, o nieznajomym graczu w szachy. Co tchu posłałem szukać lekarza.

Spodziewając się, że Helena musi być jeszcze mocno cierpiącą, zbiegłem na dół chcąc się bliżéj o jéj stanie dowiedzieć: gdy właśnie w sieniach spotkałem piastunkę.

Panna Helena posyła mię z zapytaniem jak pan Janusz noc przepędził? — rzekła zaraz na wstępie.

Trochę mię zdziwiło i to zapytanie i ton w jakim było wyrzeczone.

— Ależ najgorzéj! odrzekłem. Na gwałt posłałem po lekarza... Stan jego bardzo mię niepokoi. A panna Helena jakże się miewa?

— Dobrze chwała Bogu. Dziś wstanie zapewne.

Poczém uśmiechnęła się i odeszła.

Osłupiałem. Cóż się to święci? Czy ich kto poczarował? przecież muszę się prawdy dowiedzieć od kogoś rozumnego. I udałem się do ogrodu w nadziei, że kogoś spotkam, mianowicie pana Gasztołda który przez ten cały czas cierpiał na pedogrę i niewiele się pokazywał. Przechodząc właśnie około tarasu, podniosłem oczy ku górze i któż pojmie moje zdziwienie... Oto ujrzałem Helenę opartą o galeryą, wyświeżoną i śliczną, jakby ją nawet paluszek niezabolał. Przetarłem oczy, myśląc, że to sen. Wtém ona zobaczyła mię, głową i rączką posłała piękny dzień dobry! i znikła. Na to zjawisko nogi mi wrosły w ziemię i stałem jak posąg kamienny: ale ktoś z ludzi nadbiegł donosząc mi że lekarz jest u Janusza. Zebrałem się i pobiegłem. Zacny człowiek uspokoił mię obiecując pacientowi prędkie wyzdrowienie; zapisał též lekarstwo które mu dawać miałem.

Po odejściu doktora posłyszałem jakiś hałas we dworze, doniesiono mi, że Helena kazała zaprzągać do powozu i że zaraz miała gdzieś wyjeżdżać. Tejże saméj prawie minuty odebrałem od niéj list adresowany do Janusza; niemogąc go przeczytać zaraz, czytał go we dwa dni; był on mniéj więcéj téj treści:

„Powtarzałeś mi Pan wielekroć razy, że mię „więcéj kochasz niż siebie samego, więcéj niż własne życie, którebyś bez wahania się poświęcić go„tów był dla mnie. Chciałam zrobić malenką próbę „i dowiedzieć się jak daleko uiścisz się z przyrze„czenia; lecz niestety! przekonałam się, że w wyo„brażeniu Pańskiém: przyrzec i dotrzymać, nienależy „do jednéj kategoryi.

„Tracę jedno z najmilszych urojeń — to pra„wda; lecz z drugiéj strony nienarażam się na żaden

„zawód. Jeżeli Pan wyperswadował sobie, że umie-„rać muszę; tém samém bez wielkiéj boleści dowiesz „się, że między nami wszelkie stosunki ustają. Że-„gnam Pana.

Helena Gasztołd.

Po przeczytaniu tego listu wszystkie przepowiednie i dziwy wyjaśniły się jak na dłoni: choroba Heleny była udaną; a cała komedyja odegrała się w zmowie z naszym wielkim nieznajomym. Przyznajcie panowie, że role dobrze były utrzymane, i że z nas potężnie zażartowano.

Tutaj Major uciął, i nowe cygaro zapalał.

— Ale cóż to wszystko dowodzi mój Majorze? — zagadłem. Widać, że twój Janusz niemiał siły i odwagi spełnić szczytnéj ofiary. Sądziłbym, że ją niekochał z całéj mocy duszy.

— To pokazuje, że w magnetyzm nienależy wierzyć — wtrącił brodaty filozof. — Są to podstępy dla utrzymania ludu w wiecznéj ciemnocie.

Uwaga filozofa niemająca związku z rzeczą, upadła sama przez się, nikt bowiem niechciał wszczynać daremnéj rozprawy; lecz mój zarzut uczyniony Januszowi, pobudził Majora do odpowiedzi.

— Mylisz się mój kochany, podwójnie się mylisz: raz, że Janusz tyle ją kochał, że mógł był zrobić ofiarę z życia; ale że sposób, w jaki się odbyć miała ta ofiara, sposób nieuchrony, wyrozumowany, oznaczony godziną, sprzeciwiał się naturze ludzkiéj i dla tego spełnienie ofiary stało się niepodobném; powtóre, że niepotrzeba bardzo silnie i głęboko kochać aby życie poświęcić.... dalszy ciąg téj powieści przekona was dostatecznie.

— A więc to nie koniec? — zawołali słuchacze.

— Nie, moi panowie! odpowiedział Major zbierając się do dalszego opowiadania.

II.

AMBASADOR. POŻAR. POŚWIĘCENIE SIĘ BEZ MIŁOŚCI.

Ślubny związek Janusza Granowskiego z Heleną Gasztołd — mówił pan major zaczynając opowiadać dalszy ciąg swojéj powieści — miał szczególniéj na celu zakończyć raz na zawsze kłótnie i spory majątkowe, dzielące od lat wielu te dwie rodziny. Helena, przez wyexaltowanie romansowych wyobrażeń, chcąc znaleść człowieka, któryby życie za nią poświęcił, popsuła wszystkie układy od dawna przygotowywane: Janusz niewychylił trucizny, ona odmówiła natychmiast swéj ręki. — Znowu zaczęły się sądowe spory i procesa; a miasto duchownego, który miał błogosławić związek, pojawił się rój adwokatów i prawników jątrzących dawną nienawiść.

Janusz się gryzł tém i martwił niewypowiedzianie.

— Mamże z kochanka zostać nieprzyjacielem? — powtarzał często. —

W chęci zachowania pokoju i zgody, mimo, że matka jego i krewni odrzucali wszelkie warunki pojednania się, niepragnął niczego jak, choćby z własną stratą, zezwolić na układ polubowny. Prosił mię na wszystko, abym był pośrednikiem i pojednawcą ostatecznym; uczyniłem co chciał i w tym delikatnym charakterze pojechałem zaraz do państwa Gasztołdów. Przyznaję się, że do drugiego jeszcze delikatniejszego poselstwa, sam sobie dałem upoważnienie.

Znałem całą mu miłość Janusza do Heleny; było to niezwyczajne uczucie, które od czasu rozerwanych stosunków pewnie nie zgasło, ale owszem wzmogło się przeszkodami.

Z drugiéj znowu strony, jak dwa a dwa są cztery, byłem pewny, że Helena kocha się w Januszu, i że jéj przywiązanie przeżyło ów kaprys, który ją spowodował do zerwania serdecznych związków. Nic zatem niepodobnego niewidziałem w zbliżeniu ich napowrót; i tak dwa cele miało moje poselstwo, oba wymagające wielkiéj wprawy dyplomatycznéj.

Dom Gasztołdów przyjął mię najuprzejmiéj. Niedziwiłem się temu, będąc dawniejszym ich przyjacielem, niż Janusza. Stary kasztelan szczególniéj miał dla mnie miłość ojcowską; Helena też niemiała mię za co nienawidzieć; bośmy się znali prawie od pieluch. — Zaraz po pierwszém przywitaniu, odkryłem urzędowy mój charakter posła, z szczerą chęcią przystąpienia do zgody, do czego dane mi było pełnomocnictwo; bardzo prędko i z łatwością postrzegłem że i strona przeciwna niczego gorecéj niepragnie jak raz na zawsze ten spór ukończyć.

Ależ za to druga część mego poselstwa, zdała mi się trudniejszą do traktowania: przeciwnikiem nie był sam kaprys młodéj dziewczyny, ale wola stanowcza, wyrachowanie uzasadnione na przekonaniu, co wszystko dało powód do owéj szalonéj próby, w któréj Januszowi noga się poślizgnęła. Oddać rękę małżonkowi było w przekonaniu Heleny, jedno co oddać mu życie, nie chciała więc oddać je komu innemu, tylko człowiekowi, któryby umiał równie się odpłacić. Jakoż gdy wpadłem z nią na paragraf o miłości Janusza, gdym jéj malował jego rozpacz, i umysł znękany, wzruszała tylko ramionami.

— Przecież miałam próbę téj wielkiéj namiętności — odpowiadała z przekąsem; teraz wiem, że ta miłość bez granic ma swoje granice, i że nie może

się odważyć na połknięcie kilku łyżeczek bardzo niewinnéj mixturki. Co pan na to powiesz? mówiła tonem żartobliwym — szalona moja głowa uroiła sobie, że muszę być kochaną jakem warta, albo nigdy za mąż niepójdę. Tymczasem będę siedzieć i czekać.

— O, że panią nikt silniéj kochać od Janusza niebędzie, to pewien jestem.... rzekłem z silném przekonaniem.

— W takim razie, cóż począć! muszę czekać, choćby do śmierci. Często w pogadankah wracałem na ten przedmiot, ale nigdy nieodniosłem żadnéj korzyści. Zacząłem więc tracić nadzieję w ten związek zerwany prawie na zawsze, a jeżelim w téj treści mówił z Heleną, to jedynie, aby mieć powód do wesołych sprzeczek i nieustannych żarcików. Zdawało mi się postrzegać, że Helena lubiła utarczki tego rodzaju, które przypominały jéj osobę i wypadki daleko milsze jéj sercu, niżby to chciała dać poznać po sobie.

Przyznam się też panom moim, że w owych błogich czasach rzeskiéj młodości miałem wadę dość naganną, nadskakiwania i zalecania się każdéj ładnéj kobietce jaka się tylko nawinęła; nie miałem w tém wyrachowanego celu, zręcznie ułożonéj intrygi, ale po prostu, miłe spędzenie chwili, igraszkę wosołego humoru, a wreszcie, że użyję prostego terminu: zalecałem się dla nabrania wprawy. Nic z tego ułańskiego obyczaju niespuściłem w nowych moich stosunkach z Heleną, która odpowiadała tym nadskakiwaniom i zalecankom z taką przytomnością umysłu, z taką zachęcającą wesołością, żem nie miał potrzeby zmieniać taktyki, tém bardziéj gdy dawała poznać, że zbytnie uwodzenie się pozorami jéj względów, wystawiłoby mię tylko na śmieszność. Zresztą, cóż lepszego było robić dla skrócenia i umilenia jednotonnych chwil życia wiejskiego?

Było więc bez końca i liku takich zalecanek, sprzeczek, żarcików, oświadczeń nawet i przysiąg. Stary kasztelan jak żyw bardziéj się nieśmiał, i nieraz widząc cośmy dokazywali, wołał na nas: Dzieci! dla Boga co wyrabiacie! głowa mi pęknie; — od rana do wieczora kłócicie się tylko i znowu godzicie. A ty mój kapitanie (wtenczas byłem wziął dymissyę w tym stopniu) tak ustawnie gadasz, a gadasz, że zaszczyt przynosisz swoim Wielkopolanom....

— Alboż to tylko Wielkopolanie gaduły? — odrzekłem — są i Litewki i Litwini co nam w niczém nieustępują.

— Chwal się pan, chwal — przymawiała Helena — znamy się na wartości waszych słówek.... my przynajmniéj co mówiémy, to myślemy.

— Zgadzam się pani. Jedne tylko Litewki umieją przyrzec i dotrzymać....

— A Litwini? — odrzekła Helena z przymuszonym uśmiechem — czy niesą tacy? wątpię jednakże, aby Wielkopolanie mieli w tym względzie przewagę nad nimi; ja przynajmniéj niewielebym na nich liczyła.

— Spróbuj pani, spróbuj.

— Pan mię wyzywasz.... zobaczymy. Czy wiesz téż pan, że miałam zamiar posłać mu także flaszeczkę z probierczym napojem? Ciekawa rzecz, cobyś téż pan z nią był zrobił?

— Cobym był zrobił? posłuchaj pani: oto flaszeczkę byłbym za okno wyrzucił, a jegomości czarownikowi skórę wykropił, żeby ludziom nienapędzał choroby.... teraz proszę mi powiedzieć, czyby to niebył uderzający dowód mego przywiązania?

Helena niemogła niezrywać boków na ten pomysł; jakoż zawsześmy z sobą byli na téj stopie pustéj wesołości. Zresztą papa dobrodziéj bynajmniéj niekładł tamy wzrastającéj między nami zażyłości, owszem zdawał się mi dopomagać swoim wpływem i powagą. Niewątpię, ażali czasami niewyobrażał sobie, że mógłbym bardzo dobrze zastąpić Janusza; ręczę nawet, że oświadczenie z méj strony byłby przyjął z radością, bo miał do mnie pewną słabość, i starą jakąś wdzięczność dla moich rodziców; lecz przyznam się, że daleki byłem od tego.

Gdzie indziéj uwikłany w sieci prawdziwéj miłości, niechciałem względem Heleny przekroczyć krańców prostéj i czystéj przyjaźni; jakoż pomimo samotnych pogadanek i nieustannych nadskakiwań, niebliższy byłem celu, jak w pierwszych chwilach.

Z tém wszystkiém pobyt mój w domu kasztelana przedłużał się; zbyt mi tam wesoło i przyjemnie upływały godziny, abym się miał spieszyć z odjazdem. Wszakżeż sam zdrowy rozsądek nakazywał opuścić ten raj; zacząłem robić przygotowania do podróży, gdy Helena oznajmiła mi jednego wieczora, że jest zaproszoną na wesele córki, ich dzierzawcy; a że bardzo lubi tę dziewczynę, która się z nią razem chowała, przeto żadną miarą odmówić niemoże; w końcu dodała:

— Jutro wyjedziemy bardzo rano: pamiętaj pan niezaspać.

— Jakto? i ja mam jechać — odrzekłem, śmiejąc się — a to zabawnie! Pani mną despotycznie rządzisz. Nawet żadnych uwag niewolno mi robić: pojedziesz! i — jechać muszę.

— Nieszczęśliwy młodzieńcze! — zawołała Helena z udaném politowaniem — poświęcasz się dla

mnie! za ten dowód niespodziewanéj łaski wdzięczność poniosę do grobu.

I dygnęła przedemną jak przed monarchą dającym posłuchanie.

— Odwołam się kiedyś na tę wdzięczność; — pamiętaj pani....

Nazajutrz z brzaskiem jutrzenki, zaszły powozy przed ganek i wsiedliśmy wszystko troje. Czas był cudowny, ale droga przeklęta; przez parę mil wiła się ciągle lasem, piaskami, wąwozami, błotami, po nawalonych gałęziach i najgorszych mostkach. Prawdziwie zakazana droga, po któréj tylko Sowizrzał mógłby matkę swoją wozić. Powóz, mimo, że tęga czwórka szła w zaprzęgu, toczył się niemiłosiernie pomału.

Ja siedziałem na przodzie; kasztelan i Helena zajmowali głąb powozu. Helena ubrana była w skromnym szlafroczku, i przyznaję, żem ją nigdy tak zachwycającą niewidział. Niewiem czemu, ale miałem dnia tego usposobienie do milczenia i dumania; dla tego przez całą drogę sprawowaliśmy się spokojnie. Przestawałem bowiem na cichém podziwianiu uroczéj postaci siedzącéj przedemną, i niewątpię, aby oczy moje niemiały wyrazisto tłumaczyć mych wrażeń, gdyż kilka razy, gdy wzrok nasz się spotkał, Helena płoniła się, i z lekka odwracała główkę. Niebawem i wpadła w jakąś zadumę. Gorącość dnia wzmagająca się im bliżéj ku południowi, cisza głuchego boru, zaledwie zakłócona jednostajnym skrzypem powozu i stąpaniem koni, woniejące powietrze, brzęczenie pszczółek, owe dziwne kształty światła i cieni ruszające się do koła, słowem jakiś nieokreślony wpływ magnetyczny wprawiał nas oboje w wysoki stan marzenia. To sprawiało, żem dłużéj i częściéj topił wzrok w jéj czarującém licu, gdzie się malowało pewne roskoszne zmęczenie, pewien utajony ogień, jaki zwykle poprzedza wybuch silnéj namiętności.

Stary kasztelan już od godziny uległ był wpływowi magnetyzmu, zasypiając w kącie powozu snem twardym i głośnym.

Niewiem jak się to stało, lecz po mimowolném spotkaniu się naszych spojrzeń, Helena zadrzała i nagle odwróciła głowę, spoglądając w bór.

— Co za niesłychany upał! mówiła do siebie, odwięzując jedwabną chusteczkę ze szyi; nas tutaj słońce piecze, a tam w gęstwinie taka murawa zielona, taki przyjemny chłodek!

— Moglibyśmy pieszo iść cieniem obok powozu... Służę pani. I chciałem jéj podać ramie.

Po chwili wahania się, odrzekła niepodnosząc oczu:

— Dziękuję panu.

— Może innym sposobem da się temu zaradzić.

I kiedyśmy przejeżdżali około lip rozłożystych, wyłamałem sporą gałęź, a trzymając ją jakby wachlarz jaki, pochyliłem się ku Helenie, chcąc ją od promieni słonecznych zasłonić. Za tę przysługę uśmiechnęła się i podziękowała skinieniem głowy. Lecz gdy niepodobna mi było utrzymać się w téj postawie zgiętéj i pochylonéj, musiałem jeszcze bardziéj zbliżyć się ku niéj, i ręką oprzeć się o siedzenie. Tym sposobem dotykałem jéj ramienia i czułem nieledwo każde tchnienie. Bliskość moja zmusiła ją cofnać się w głąb i głowę w tył odrzucić, wtedy to zdała się tak piękną, tak porywającą, żem prawdziwie od rozumu odchodził. Helena również musiała być w niezwykłem usposobieniu; oczy, które miała w dół spuszczone zwolna się podniosły i spotkały z mojémi.... Lecz się nagle wzdrygnęła, i krzyknąwszy, przytuliła do ojca.

— Co to jest? co to się stało? zawołał kasztelan przecierając oczy — czyśmy się wywrócili?

— Nie kochany ojcze — odrzekła głosem drżącym... tylko powóz się przechylił i przestraszyłam się.

— Niegodziwa i nudna droga — dodał kasztelan. Ogromnie się zmęczyłem; czy prędko staniemy na miejscu?

Powtórzyliśmy to pytanie woźnicy, który nas zapewnił, że za półgodziny staniemy u kresu. Przytém bór się już kończył, a droga idąca polem o wiele była równiejsza, więc zajechaliśmy prędko.

Wesele odbyło się jak wszystkie wesela. Wieczorem zaczęły się tańce; lecz Helena wbrew zwyczajowi swemu mało tańczyła. Co do mnie, rozważając okoliczności naszéj podróży, domyśliłem się przyczyny tego kwaśnego humoru, i byłem temu rad wielce. Przyznam się, żebym teraz niewiedział, jak się postawić na stopie dawniejszych z nią pustot i żarcików; obawiałem się nawet, czy śmiałość moją niewzięła za obrazę, i dla tego układałem zamiar prędkiego wyjazdu. Igrać z miłością zawsze niebezpieczna, a cóż dopiero z uczuciem na jakie zdobyć by się mogła taka nadzwyczajna istota?

Na weselu bawiono się bardzo dobrze; tańce, cukrowa kolacya, przeciągnęły się do północy. Dwór o piętrze staroświecki i dosyć obszerny pomieścił wiele gości, reszta albo rozjechała się do domów, albo nocowała na folwarku, a nawet w szpichrzu i stodole. Ma się rozumieć, że kasztelana przez wzgląd na wiek i godność, umieszczono na dole, Helena zaś z innémi pannami spała na górze, mnie dano bardzo

wygodny gabinecik od strony ogrodu. Znużony jazdą i tańcem zasnąłem na zabój.

Nadedniem, kiedy sen najsmaczniejszy i najtwardszy, dochodzi mię okropny hałas i krzyki. Otwieram oczy — a tu w moim pokoju widno, żeby i szpilki zbierał; — jasność jaskrwawo czerwona, naprowadziła mię na domysł, że to jest łuna pożaru. Jednym skokiem wybiegam z łóżka; wpadam do sieni.... Cały dom w ogniu! —

Jak stałem, zarzuciwszy tylko płaszcz na siebie, przebiegam ogród, i znajduję się na dziedzińcu.

Co za okropny widok! W pobliżu dworca była stajnia pod słomą i oborki na bydło; ztamtąd wszczął się pożar i wszystko zniszczył w jedném oka mgnieniu; a wiatr gwałtowny, porywał snopki zapalone i obrzucał niémi dach budynku mieszkalnego, który zajął się jak cynamon. Niebyło żadnego ratunku. Wszyscy co nocowali we dworze, dopiero, gdy szyby w oknach pękać poczęły, powyskakiwali z swych łóżek, cały ten tłum przestraszonych mężczyzn, kobiet i dzieci biegał, krzyczał, zawodził i łamał ręce; przytomniejsi zaś i odważniejsi szukali drabin, haków, konewek, potrącali się, łajali i klęli, ale dla tego ogień nieprzestawał się szerzyć, i dość było spojrzyć, aby widzieć, że już niéma żadnego ratunku. Bliższe bowiem budynki gospodarskie spłonęły, a dach na domie mieszkalnym cały stał w płomieniu i co chwila groził upadkiem. Kilka wiader wody wylanych bez celu, powiększyły tylko siłę pożaru.

Pierwsza myśl moja była ocalić Helenę i jéj ojca; spiesznie szukam ich w tłumie, i postrzegam kasztelana głosem rozpaczy wołającego: gdzie moja córka! — Heleny nigdzie niebyło! nikt jéj niewidział! co za okropne nieszczęście!

— Szukaj mi dziecka! ratuj ją! wołał ojciec, wyciągając do mnie ręce.

— Niepodobna dostać się do środka — mówił któryś z dworskich, wracając z ognia cały usmolony. Wschody omal, że nie zawaliły się na mnie.

W téj chwili — jakby jakie okropne widmo — wysoko, w oknie pierwszego piętra, ujrzeliśmy Helenę w bieli, uciekającą na wązki balkonik przed płomieńmi, które ją zdawały się ścigać. Biedne dziewcze, włożyło na siebie w tym przestrachu wczorajszą weselną sukienkę, i tak uciekała z jednego miejsca na drugie przed buchającym dymem i ogniem. Pod nią, z dolnych okien również buchały płomienie z trzaskiem i sykiem; a z pociągiem wiatru obłok gorejącego dymu pochłaniał ją czasami, i myslałbyś, że z sobą unosił. Rzucona sama jedna w ten żywioł rozhukany, omdlewając od gorąca, uklękła i tak nieruchoma, z rękami skrzyżowanémi na piersiach, biała jak gołąbka, niewiadomo nawet czy wzywała głośnego ratunku, gdyż jęk jéj nigdyby do nas był niedoszedł, tak huczał płomień, a belki i wiązania z trzaskiem się zapadały.

— Tysiąc czerwonych złotych! dwa tysiące! wioskę — pół majątku, oddam temu kto mi córkę wyratuje! — Wołał stary kasztelan targając siwe włosy z rozpaczy.

— Ani sposobu przystąpić! na to się nikt nieodważy! — powtarzano dokoła; a wszystkich oczy zwracały się na nią.

Jakiś młody, rzeski chłopek, śmielszy od innych poskoczył ku dworcowi, już się wdziérał po oknach i belkach, kiedy kawał dachu upadł i przywalił go wśród pałających węgli.

Wyciągnięto nieszczęśliwego i ledwo się dotrzeźwiono.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Psalm Nadziei.

16. A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki.
17. Onego Ducha prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi ani go zna. – Lecz wy go znacie gdyż u was mieszka i w was będzie.
18. Nie zostawię was sierotami – przyjdę do was.

Ś. JAN. Rozdział XIV.

6. I widziałem drugiego Anioła lecącego przez pośrodek nieba, mającego Ewangelją wieczną, aby ją zwiastował siedzącym na ziemi i wszelkiemu narodowi i pokoleniu i językowi i ludowi.

OBJAWIENIE Ś. JANA, Rozdział XIV.

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal!

Wszystkim ciało dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A Duch święty, żywot chowa
By wraz ciało z duszą zlał!

Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel!
Niedaleki — nam przed wieki
Obiecany Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina.
Poznan będzie — niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie —
Lecz niewinnie umęczony,
Ten o Duchu! ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił
Kościół broniąc od poddaństwa!
Milionową pierś wciąż krwawił
Aż rozdeptał gad pogaństwa!

Kto śród ludów niemiał brata;
Ten, na czyim już pogrzebie
Były wszystkie króle świata,
Ten o pierwszy ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy — choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w niebie!
A kto patrzy w Ducha strony
Ten, o Duchu ujrzy Ciebie! —

*

Ni zmysł kupców ni dłoń kata
Przeciw prawdzie niepomoże!
O przyjdź prędzéj wiosno świata!
O przyjdź prędzéj Duchu-Boże! —

Wszak my duchy, Duchu święty?
Wiecznie wstajem z własnych kości —
Wszak jak Chrystus wniebowzięty
Wniebowstąpim w Raj miłości?

Wszak my jedni i ciż sami
Tylko coraz wyżsi, Panie?
I garniemy się wiekami
W ostateczne Zmartwychwstanie?

Jawem życia — czy snem w grobie
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiośnie —
Kwiat niebieski — duch nasz — rośnie,
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!

Kto opisze — kto opowie?
Bóg jest jeden — jeden — sam!
Przecież, w Bogu, dano nam,
Że my będziem jak Bogowie! —

*

Lecz wprzód ziemia ta stroskana
Pokój przyjąć musi wszędzie!
Wszak kazana w imię Pana
Ewangelia wieczna będzie? —

Wszak z planety co się rozciął
Na odłamków tyle — tyle —
Będzie jeden świat i kościół!
Daj nam Duchu — daj tę chwilę! —

Chrystusowy uścisk bratni
Gdy okoli wszystką ziemię,
Wejdzie, wejdzie wiek ostatni,
I ostatnie ludzkie plemie.

Żegnaj ziemio z bólem! z żalem!
— Wszędzie święte ze świętemi —
Nowe błyszczy Hieruzalem
Na padole staréj ziemi!

Długa droga — trud był śliski —
Krwi spłynęło i łez morze!
Lecz anielstwa czas już bliski —
— Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

*

— Tak wam z krzyża, o plemiona
Dziś proroczy Polski naród:
Choć mówicie: „Ot, już kona.“
W nim przyszłości waszéj zaród. —

Polsko! Polsko! grób twój tylko
Był kolyską nowéj zorzy!
Śród wieczności jedną chwilką
W któréj począł się dzień boży!

Czas już zedrzeć z wieku chmurę!
Idącego Pana chwalmy!
Rzucać palmy — rzucać psalmy —
Kwiaty na dół — pieśni w górę!

O! rzucajcie pieśni, kwiaty!
Oto idzie — idzie Pan;
A nie smętny jak przed laty,
Wolny cierniów, gwoździ, ran! —

Przemieniony, z niebios szczytu
Z nad wszechświata gwiezdnych ścian,
Jak widnokrąg wszechbłękitu
Ku nam spływa — spływa Pan!

O! ten błękit pijcie duszą
A wam wszystko zbłękitnieje!
Choć was męczą — choć was kuszą —
Uwierzycie w mą nadzieję! —

Niech was darmo nie postrasza
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszéj, wola wasza —
Z woli waszéj, czyn wasz będzie!

Niepowróci stara klęska —
Duchom—duchom, tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięzka,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo—dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

ROZMAITOŚCI.

— Z Poznania. — „Roku 1845.“ wyszedł poszyt IX. i zawiera: 1) Trzy prelekcye Erika Gustawa Geijera, professora historyi w uniwersytecie upsalskim; 2) O organizacyi stosunków rólniczych we Francyi, ze względu na reformy dzisiejsze społeczne; 3) Kronika bibliograficzna; 4) Rozmaitości.

— Od lat kilku zatrudnionych jest wiele okrętów przywożeniem z wysp Amerykańskich nowego nawozu, zwanego guano i obawiano się, aby go niezabrakło w gospodarstwach rólniczych. Minister przychodów w Peru ogłasza przeto, że trzy wyspy zwane Chincha nad brzegami peruańskiemi tak wiele zawierają guana,

iż niém możnaby nawozić pola całego świata przez kilka pokoleń.

— Najnowszy dowcip amerykański który teraz przechodzi z gazet do gazet, głosi, iż syn pewnego kupca handlującego guanem, chłopiec dziesięcioletni, położył się niedawno w składzie swego ojca na miechy napełnione guanem i na nich zasnął. Wyszedłszy potém ze składu, ojciec go niepoznał i chłopiec rzewne łzy ronił, bo w skutek nadzwyczajnéj siły guana przerosł w chłopaka dwudziesto letniego.

— Najtańsze oświecenie gazem ma Fredonia w północnéj Ameryce. Jest to miasto małe z pięknemi białemi kamienicami, i sześciu kościołami i 1200 mieszkańcami. Gaz naturalny wychodzi z ziemi, zbiera się w gazometer i z tąd rozchodzi się po domach i ulicach za pomocą kanałów i zapala według potrzeb.

— Paryskie gazety opowiadają o osobliwszéj kradzieży. Pewna dama udając się jednego wieczora spać do swego gabinetu, ujrzała służącego swego przy biurku, jak wybierał i przywłaszczał sobie jéj klejnoty. Na widok swéj pani padł złodziéj na kolana i prosił o przebaczenie. Dama zaś, która tego wieczora grając w karty pod słowem honoru przegrała 10,000 franków i nie wiedziała, jakim sposobem je zapłacić, pod tym tylko warunkiem chciała darować winę służącemu, jeżeli inną popełni zbrodnię. Kazała mu skraść kasę męża i dała mu wytrych do niéj. Służący przystał śród strachu i zajął się dokonaniem kradzieży. Zamek zaś u kasy był uzbrojony w pewien rodzaj pistoletu, który strzela, skoro się otworzy bez zachowania przepisanych ostrożności. Służący otworzył zamek, strzał padł i raniony niebezpiecznie złodziéj, schwycony został po drugi raz na uczynku. Zaniesiono go do szpitala i przyznał się przy pierwszém śledztwie do wszystkiego i że kasę okradł na wezwanie swéj pani. Dama jak się samo przez się rozumie, zapiera się i ciekawi jesteśmy, jaki obrot sprawa weźmie.

— Przed dwoma tygodniami stała buda w Antwerpii w czasie straszliwéj burzy. Właściciel jéj pokazywał ciekawym prawdziwego dzikiego człowieka, którego pilnowało czterech ludzi z nabitą bronią dla bezpieczeństwa i opowiadał szczegóły pochwycenia tego dzikiego z własném niebezpieczeństwem życia. W tém burza zatrzęsła budą tak dalece, iż ani wątpić nie można było, iż cała zawali się i przygniecie i widzów i dzikiego człowieka. Czteréj stażnicy rzucili broń i umknęli wraz z widzami, którzy także co sił uciekali i przed walącą się budą i przed dzikim ludojadem. Śród zgiełku i krzyku najbardziéj jednak wołał o ratunek po flamandzku sam ludojad, bo to był przebrany, zupełnie oswojony parobczak z okolicy.

MODY.

Paryż, dnia 15. Października 1845.

Za jesienny ubiór możemy tu uważać suknię, którą widzieliśmy przed kilku dniami z czarnéj kitajki, z czterema rzędami haftów szerokich, wyglądających nakształt koronek i które były broszerowane i satynowane. Stanik zupełnie gładki z haftem podobnym jak na powłoce i obcisłe aż do łokci rękawy, ohaftowane u dołu nakształt wyłogów.

Widzieliśmy także szlafroczek z zielonego atłasu, w białe ukośne linie. Stanik aż do góry zapinany i maleńkie poły, zwiększające wydatność bioder. Rękawy były obcisłe z dużemi wyłogami. Garnitur z guziczków markasitowych zwiększał urok tego ubioru.

Jeszcze piękniéj wyglądał szlafroczek z francuskiego gros, oszyty burtą sutaszową w trzech różnych mieniących kolorach. Stanik był gładki i podobnie oszyty, rękawy obcisłe, szwy oszyte sznureczkiem.

Ciemne kolory przenoszą nad inne w nowych tkaninach, a kitajek kameleonowych z tysiącznym odbłyskiem kolorów nie mogą nosić damy, roszczące pretensye do elegancyi.

Zupełnie nową tkaniną są atłasy merynosowe. Tkanina ta podobna do lastingu, ma pluszowe ręby, lice zaś atłasowo połyskujące. Wyborną jest na porę jesienną, a szególniéj na częste niedbałe wzięcie.

Wspomnieć musimy o nowych atłasach zielonych, niebieskich i brunatnych ze srebrną na ukos tkaną nitką, niemniéj o kitajkach, połyskujących dwojako w tym samym kolorze. Tak połącza się kolor szary stali z lnianym, szyfru ze srebrnym.

Do tych nowości dodać należy długie szale z podwójnéj kitajki w czarnym lub niebieskim kolorze, z dwiema paskami, obiegającémi na około szalu.

Najpiękniejsze guziczki do rękawiczek są markasytowe, z emalii i granatek. Do zapinania półkoszulczy mają też bardzo piękne guziczki, zwane markizami, pompadour, bassompiere, których też do szlafroczków używają aksamitnych lub atłasowych.

Objaśnienie ryciny.

1) Ubiór kaszemirowy po domu, pasamonami i atłasem ozdobiony. Suknia spodnia muślinowa. Czepeczek muślinowy, zdobny wstążką.
2) Kapotka krepowa z piórem; szlafroczek z alcyony, orzucona aksamitem.
3) Surdut wierzchni. Pantalony sukienne.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*